

## Katarzyna Rupiewicz\*

### Brama

Porté obudził się w ramionach Liljan. Musiał zasnąć na chwilę. Patrzył, jak kobieta gładzi jego pierś, lekko unosząc palce, aby szpony nie poraniły skóry.

— Ktoś idzie — szepnęła dziewczyna i już jej nie było.

Opadł na chłodną trawę. Uwielbiał, kiedy znikają, zwłaszcza bez ostrzeżenia. Czasami jeszcze przez kilka minut mówił do siebie, utwierdzając nadchodzącą osobę w przekonaniu, że ma do czynienia z wariatem.

Wsparł się na łokciach i rozglądał za intruzem. Zza wzgórza wyłoniła się jego młodsza siostra.

— Porté! — krzyknęła. — Ojce was wołają. Do wsi żołnierze zjechali. Ojce im mówili, że ty chory, ale nie słuchają. Oni każdego biorą. Mówią, że rozum na wojnie niepotrzebny.

Prawie całą wiadomość zdołała wyrzucić z siebie na jednym oddechu. Uwielbiał takie potoki słów wypowiedane w języku ludzi. Wyłapał słowa-klucze i poskładał informacje w całość. Skinął głową na znak, że zrozumiał.

Zuzia wzięła go za rękę i pociągnęła w kierunku domu. Może bała się, że sam nie trafi.

Pułkownik udawał, że czyta mapę. Nie lubił postojów we wsiach, bo sierżant zawsze zabierał paru kmiotków, a zapłakane matki rzucały im się do stóp — zupełnie jakby walczyli dla własnej cholernej przyjemności.

Siwy mężczyzna padł przed nim na kolana, nie zważając na rozłożoną mapę.

\* Katarzyna Rupiewicz — mieszka w Katowicach. Ukończyła język francuski, socjologię reklamy i administrację Linuxem. Od kilku lat jest członkiem sekcji literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki. Jej opowiadania ukazały się w klubowych antologiach *Ścieżki wyobraźni* i *Światy równoległe*. W tym roku nakładem wydawnictwa Genius Creations ukaze się jej pierwsza powieść pt. *Redlum*.

— Panie, nie zabierajcie mi syna. On głupi. On nie mówi prawie. Dnie i noce gada do siebie w lesie.

— Skoro nie mówi, to w jaki sposób gada do siebie? — Dowódca zaśmiał się.

— To nie jest mowa, panie. Bełkot jakiś, nikt go nie rozumie.

— W takim razie nie będziemy go o nic pytali.

Chłop wybuchnął płaczem. Kiedyś pułkownik odpuszczał, ale jak zwolnił jednego, to zaraz dziesięciu następnych czołgało się przed nim. Musiał więc brać wszystkich, nawet jeśli się do niczego nie nadawali.

— Ilu zyskaliśmy żołnierzy? — spytał.

— Z głupim będzie ośmiu, panie pułkowniku — odparł sierżant. — Dobre chłopcy, mocne.

Starszy żołnierz powtarzał to w każdej wsi. Nawet gdy miał przed sobą taką zbieraninę oferm, że wstyd ich było pokazywać wrogowi. Rodzice zawsze się wtedy cieszyli. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego. Syna zabijają, ale przynajmniej dobry był, mocny.

Pułkownik nie zauważył, kiedy dziecko prowadzące przygłupiego brata zbliżyło się do zabudowań. Widział już kilku wioskowych głupków, a ten ich w niczym nie przypominał. Był czysty, gładki, może trochę zbyt chudy, ale na wsiach tak już bywa. Kiedy dziewczynka wybuchła płaczem, chłopak uklęknął i wyszeptał jej coś na ucho, jakby zapomniał o roli idioty.

Dowódca pomyślał, że to spryciarz, który próbuje się wymigać od wojska. Podszedł bliżej, żeby posłuchać, co też niemowa ma do powiedzenia. Dopiero wtedy zauważył blizny na jego plecach. Ślady pazurów pozostawione przez jakąś bestię nie przywodziły na myśl żadnego zwierzęcia znanego w tych stronach.

Gdy młodzieniec zorientował się, że jest obserwowany, cofnął się i założył przyniesioną przez ojca koszulę. Pułkownik nadal mu się przyglądał, kiedy chłop bardzo wolno tłumaczył synowi, że ten idzie na wojnę i ma słuchać dowódcy. Chłopak kiwał głową. Rzeczywiście słuchał z uwagą albo świetnie udawał. Jedno żołnierz podejrzewał już teraz: „Będą z nim kłopoty. Będą jak cholera.”

— Panie pułkowniku! Oddział gotowy do wymarszu! — krzyknął sierżant.

— Panie sierżancie! Wymarsz! — przedrzeźniał go pułkownik.

Starszy mężczyzna uwielbiał bawić się w wojsko. To, co wymaszerowało ze wsi, trudno było nazwać oddziałem.

Grupka żołnierzy miała przejechać niemal przez środek kraju, łowiąc nowy narybek dla topniejącej armii. Upokarzająco proste i bezpieczne zadanie. Tyle tylko, że niespodziewanie znaleźli się przy samej granicy lub też sama granica znalazła się tuż obok nich. Powinni byli uciekać, ale wydawało im się to niegodne. Po kilku miesiącach czajenia się w lesie, wypatrywania wroga za każdym drzewem i ciągnięcia za sobą chłopów, którzy marnieli w oczach, nie widzieli w tej misji niczego honorowego. Było ich raptem kilku, nie mieli ani wystarczających zapasów, ani broni, a za każdym razem, gdy wydawało im się, że są już krok od domu, wróg zagarniał kolejną połąć terenu, zmuszając do zmiany trasy. Jeśli przedrą się do Walsit, gdzie stacjonuje ich wojsko, pułkownik upije się z radości najgorszym bimbrem, jaki tam będą mieli.

Tymczasem wlekli się noga za nogą: żołnierze razem, mieszkańcy poszczególnych wsi razem i tylko rzekomy niemowa trzymał się na uboczu. Pułkownik pomyślał, że nawet gdyby stworzyli grupkę wioskowych głupków, nie pasowałby do niej. Jego zresztą bardziej interesował las niż ludzie. Nieustannie błędził wzrokiem między drzewami. Może chciał uciec, a może się odlać.

Porté odliczał minuty do nadejścia nocy, a w lesie mrok zapadał szybciej. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie odejdzie od ludzi. Może powinien podejść do mężczyzn ze swojej wioski? Pewnie zapadnie cisza, a potem spróbują udawać, że wcale go nie ma obok nich. Porté był człowiekiem, ale nie potrafił zrozumieć własnej rasy.

W końcu mistrzowie zarządzili postój. Ludzie chyba mówili na nich inaczej: „dowódcy”. Nawet ładne słowo, nieprzetłumaczalne na język cieni. W każdym razie jeden z nich – „dowódc” czy jakoś tak – nieustannie mu się przyglądał. Może był mądrzejszy od innych i podejrzewał, że Porté jest kimś innym, niż się wszystkim wydaje. Tylko za kogo go uważał?

Dowódc zsiadł z konia i podeszedł do niego.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Porté.

– Nie ma takiego imienia. – Odwrócił się do ludzi z jego wsi. – Jak go wołacie?

– Ojce mu Cyryl dali, ale on do siebie Porté kazał mówić i ponoć inaczej nie słucha.

– Niech będzie i Porté. – Dowódc znów spojrzał na niego. – Pójdiesz do lasu nazbierać drew na ognisko. Jeden z moich ludzi będzie z tobą, żeby ci nic głupiego do głowy nie przyszło. Rozumiesz, Porté?

Mówił szybciej, niż sąsiedzi we wsi, zupełnie jakby rozmawiał z normalnym człowiekiem. Początek polecenia rozumiał, a znaczenia reszty się domyślał, więc skinął głową.

Do lasu poszedł z nim jeden z żołnierzy, który jednak nie miał zamiaru zbierać drzewa. Był wyższy i szerszy w barach niż Porté, tylko czy to powód do dumy? Gdyby raczył zgiąć ten wielki kark, nazbieraliby więcej gałęzi i szybciej wrócili. No ale widocznie jakieś niepisane prawo ludzi zabraniało pomagania niższemu.

Usłyszeli szelest. Odgłos zupełnie naturalny w lesie, a drągal i tak wyjął miecz.

– Uciekaj, kmiotku – szepnął.

Porté nie zrozumiał. Podeszedł bliżej, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kilka metrów dalej stał wilk. Zwierzę zjeżyło się i odsłoniło zęby.

– Mówiłem, spieprzaj stąd! – warknął żołnierz.

– Nie rób krzywdy mu – powiedział nieskładnie młodzieniec.

Minął wielkoluda i powoli zbliżył się do wilka. Zwierzę zawarczało głośno, szykując się do skoku, ale Porté był pewien, że nie odważy się zaatakować. Podeszedł dostatecznie blisko, by poczuło jego zapach, a właściwie zapach Liljan pozostawiony na jego skórze. Wilk cofnął się, podwinął ogon pod siebie, zaskomlał i uciekł.

– Co do cholery? – spytał drągal.

Chłopak wrócił do zbierania drzewa, choć opornie mu to szło. Zerknął na wielkoluda, który patrzył już na niego inaczej, ale nadal nie palił się do pomocy.

– Zostaw to, kmiotku. Wracamy – powiedział żołnierz.

– Jeszcze za mało.

– Wracamy, mówię.

To był koniec dyskusji. Porté wziął, ile był w stanie i ruszył. Widocznie po resztę przyjdzie ktoś inny, ale czuł, że nie dlatego odchodzą. Drągal nie schował miecza.

W obozie przygotowywano już dwa ogniska: jedno dla tych, którzy jechali konno, drugie dla pieszych. Wielkolud podeszedł do swoich i zaczął coś opowiadać dowódcowi. Na wypadek gdyby Porté miał wątpliwości, o czym rozmawiają, patrzyli cały czas w jego stronę. Pochylił głowę i poszedł na drugi koniec obozu. Wcale nie chciał, żeby się nim zajmowali.

Zdanko z jego wsi podał mu dwa suchary. Młodzieniec nie miał na nie ochoty, ale zjadł, żeby jakoś dopasować się do otoczenia. Dyskusja przy drugim ognisku

obejmowała coraz więcej osób. Gdy dowódc zauważył, że chłopak ich obserwuje, splunął i powiedział coś, co ucięło wszystkie rozmowy. Ludzie przycichli, ale wciąż szeptali.

Po jego stronie obozu szeptów, na szczęście, było mniej. Chłopi usypiali natychmiast, zbyt wycieńczeni drogą, żeby zajmować się jakimś głupkiem.

Położył się, by myślano, że i on śpi. Spod na wpół przymkniętych powiek obserwował drugie ognisko. Większość żołnierzy udała się na spoczynek, ale dowódc wciąż kręcił się po obozie. Podsyczał ogień, okrążał teren – chyba pilnował oddziału. Jego również zmorzył sen, szybko i nienaturalnie. Mówią, że ludzi uspionych przez cienie dręczą koszmary, lecz Porté wiedział, że to nieprawda. Nic im się nie śniło.

Soriel wszedł pomiędzy śpiących. Przy niektórych przystawał i przyglądał im się z ciekawością. Młodzieniec znał ten wyraz twarzy. Jego siostra miała podobną minę, gdy obserwowała barwne żuczki.

– Nie śpieszyłeś się – powiedział Porté.

– Miałem cię na oku. Nic ci nie groziło.

– To miło, a teraz zabierz mnie stąd. – W języku cieni nie miał problemów z właściwą kolejnością słów.

– Zostaniesz i będziesz szedł razem z nimi.

Chłopak przeszedł między śpiącymi i dorzucił drzewa do dogasających ognisk, by ukryć drżenie rąk. Spojrzał z góry na uspięnego dowódcę, potem na Soriela.

– Ja tu nie pasuję.

– No właśnie. Łącznik między nami a ludźmi ma należeć do obu światów. Musisz poznać ich sposób myślenia, poćwiczyć język, nauczyć się czegoś od ich mistrzów.

– Oni nie mają mistrzów. Są sympatyczni, ale to idioci.

Cień wybuchnął śmiechem. Jeden ze śpiących przekręcił się na drugi bok i jęknął.

– Za to cię kocham śmiertelniku. Ktoś z nas zawsze będzie przy tobie.

Po tych słowach Soriel zniknął.

Porté pomyślał, że to nie może dziać się naprawdę. Usiadł przy ognisku chłopów i wpatrywał się w ogień. Kątem oka dostrzegł, że dowódc się budzi i rozgląda błędnie po obozie.

– Co tu robisz?! – warknął pułkownik.

Młodzieniec sięgnął po kilka gałęzi i dorzucił je do ogniska. Wstał i spojrzał na dowódcę tak, jakby on był wszystkiemu winien. Tamten cofnął się, zupełnie jak wilk w lesie. Porté nie czekał na kolejne pytania. Położył się i próbował zasnąć.

Pułkownik przeżył ostatnio wiele „długich nocy”. Setki razy rugał żołnierzy, którzy zasnęli na warcie, a i jemu czasami zamykały się oczy. Dzisiaj jednak nie zasnął. Mało czego był tak pewien na tej wojnie. Kiedy obudził się na ziemi, gotów był przysiąc, że ktoś go ogłuszył. Od początku też miał podejrzenie, kto. Dziwnym zbiegiem okoliczności była to jedyna osoba, która nie spała. Bóg mu świadkiem, uderzyłby go, gdyby nie te oczy, płonące żywym ogniem. Nie należały do chłopca ani tym bardziej do wioskowego głupka. Może nie należały do człowieka?

Dowódca pomyślał, że sam oszalał. Powinien znaleźć sobie nieistniejące imię i zaszyć się w lesie. Kiedy noc zbladła, a Porté ani razu nie uniósł się nad ziemią i nie podpalił trawy oddechem, żołnierz nie potrafił już powiedzieć, co tak naprawdę się stało.

O świcie jeden z jego ludzi przyszedł po rozkazy. Nazywali go Bykiem, bo był wielki i czerwień strasznie go rozjuszała. Pułkownik kazał obudzić wszystkich i zatrzeć ślady postoju.

— A tamten chłop? — spytał Byk. — Widziałem, jak wilk przed nim spieprzał z podkulonym ogonem.

— Wypytam go.

Najlepiej byłoby go zabić. Dowódca powiesił już kilku chłopów za dezercje. Żadnego jednak za płoszenie wilków i dziwne spojrzenie.

Sierżant podał mu kubek wody.

— Zarządza pan wymarsz, panie pułkowniku?!

Starszy mężczyzna zawsze krzyczał. Nawet kiedy w oberży prosił o chleb, zachowywał się tak, jakby zwracał się do całego oddziału.

— Daj im parę minut na pozbierane się. — Napił się wody, smakowała miernie, jak wszystko ostatnio. — Pamiętasz tego głupka, którego zabraliśmy wczoraj?

— Tego od wilka, panie pułkowniku?!

— Niech idzie obok mnie na przedzie oddziału.

— Tak jest, panie pułkowniku!

Dowódca zmusił się do dopicia wody. Brakowało mu wina.

Rozejrzał się po obozie. Chłopi zbierali się niechętnie, ziewali, rozcierali obolałe kości. Ci, którzy szli z oddziałem od dłuższego czasu, okręcali poranione nogi brudnymi szmatami. Porté oczywiście nie wykazywał żadnych ludzkich odruchów. Rozglądał się

tak samo jak on. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, chłopak nie odwrócił wzroku ani nie pochylił głowy. Przyglądał się badawczo dowódcy. Przestał, gdy podszedł do niego sierżant. Pułkownik żałował, że nie słyszy tej rozmowy. Musiała być ciekawa, bo starszy żołnierz nagle poczerwieniał i zaczął krzyczeć głośniejszym niż zwykle.

Dopiero wtedy Porté pochylił głowę. Kiedy sierżant odszedł, zerknął jeszcze raz ciekawie na dowódcę. Potem zaczął przyglądać się ludziom. Przeszedł się kilka razy w tę i z powrotem. Urwał gałązkę jakiegoś krzaka i studiował ją z wielkim zainteresowaniem. „Chłopu się cholernie nudzi na tej wojnie”, pomyślał żołnierz.

– Oddział gotowy do wymarszu, panie pułkowniku!

– Wymarsz i zawołaj do mnie jeszcze raz tego głupka.

Dowódca wszedł na konia. Począł, aż Porté zostanie po raz drugi zrugany przez sierżanta i wreszcie podejdzie. Kmiotek stanął obok. Spojrzał na ziemię, na pułkownika, znów na ziemię, aż wreszcie skupił uwagę na koniu. Wyruszyli, zanim tak zwany oddział zebrał się do drogi.

– Czym zdenerwowałaś sierżanta? – spytał.

Uznał, że nie warto zaczynać od pytania: „kim ty do cholery jesteś i dlaczego mnie tak wkurzasz?”

– Mówisz dowódcę czy dowódca?

– Dowódca – wyjąkał pułkownik.

Przez chwilę pomyślał, że to żart. Po upływie tej chwili nie wiedział, co ma myśleć. Porté skinął głową. Znowu zapadła cisza.

– Skąd masz blizny na plecach? – spytał żołnierz. Liczył na to, że tym razem uzyska sensowną odpowiedź.

– Nie wiem, jak to się mówi. To jak żona, ale jest ich kilka.

Pułkownik odniósł wrażenie, że Porté sam nie jest głupkiem, ale z niego robi idiotę. „Jak żona, ale jest ich kilka” pomyślał i wybuchnął śmiechem.

– Kochanka? Niewiasta cię tak podrapała? – Młodzieniec skinął głową. – Gdyby mnie kobieta tak urządziła, sprabym ją tak, żeby popamiętała na...

Nie zdołał dokończyć zdania. Koń nagle stanął dęba. Dowódca walczył o utrzymanie się w siodle, ale bez skutku. Upadł na plecy, aż pociemniało mu w oczach. Nie zemdlał na szczęście. Chociaż, jakie tam szczęście? Bolało go wszystko tak, że parę minut bez przytomności by mu nie zaszkodziło.

Zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Porté. Chłopak wyciągnął rękę i pomógł mu wstać.

— Ty uważaj, co ty mówisz. Ona bardzo nerwowa jest.

— Kto do cholery?! — krzyknął pułkownik. Przestał rozcierać bolące plecy.

Porté oczywiście nie odpowiedział.

Dowódca chciał powtórzyć pytanie, ale Porté uciszył go ruchem dłoni. Jak długo żył, jeszcze żaden kmiotek go nie uciszał. Milczał jednak, bo był zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć.

— Jeźdźcy przed nami — oświadczył Porté. — Trzydzieści koni, uzbrojeni ludzie.

— Skąd możesz wiedzieć? — spytał żołnierz.

— Wiem.

— Niech cię diabli! Weź konia i jedź do sierżanta, powiedz mu, żeby ukrył ludzi w lesie.

— Nie trzeba. Oni jadą za pół godziny, my za dwie minuty.

„Co za cholerny szyfr?” Dowódca usłyszał stukot kopyt za swoim plecami. Jego oddział zdążył się zbliżyć. Już z tej odległości można było coś krzyknąć, a za dwie minuty będą obok. To znaczy, że tamci z naprzeciwka przyjadą za pół godziny. Nie. Szlag by to trafił, przecież on nie może ich słyszeć z tej odległości.

— Kłopoty, panie pułkowniku?! — krzyknął sierżant.

Jego zastępca patrzył podejrzliwie na Porté. Wystarczyło jedno słowo, żeby na zawsze pozbyć się kmiotka.

— Za pół godziny będzie tu wrogi oddział. — Dowódca sam nie wierzył, że to mówi.

— Ukryć chłopów i konie w lesie.

Sierżant i żołnierze nasłuchiwali przez chwilę. Chłopi zaskoczeni nieplanowanym postojem zaczęli rozsiadać się na ziemi.

— Nic nie słysząc, panie pułkowniku — oświadczył starszy mężczyzna wyjątkowo nie krzyżąc.

— Róbcie, co mówię.

Dowódca pomyślał, że to już nie jest głupota. To czyste szaleństwo. Porté uśmiechnął się do niego i skinął głową. Może umiał czytać w myślach.

Weszli w las. Nie jest łatwo ukryć tak dużą grupę, ale już po chwili pułkownik zauważył, że Porté zatrzymuje się i zaczyna schodzić w dół z jego koniem. Przed nimi,



jak na życzenie, pojawił się niezbyt stromy wawóz. Zaczął podejrzewać młodzieńca, że ten go wyczarował. Nie zszedł. Chciał zobaczyć tych jeźdźców.

— Sierzancie, ja, pan, Byk i Porté podejźmy bliżej ścieżki.

— Co to jest „porté”, panie pułkowniku?

— Tak się nazywa chłop, który trzyma mojego konia.

Starszy żołnierz nie odezwał się. Mieli obowiązek doprowadzenia do Walsit jak największej liczby mężczyzn, którzy dostaną starą broń i pójdą na bitwę w pierwszym szeregu. Nie zapamiętywali, jak się kto nazywa. Mówiąc o Porté, zamiast o kmiotku trzymającym konia, pułkownik zaczynał traktować go jakby był jednym z nich.

Sierzant był zbyt zdyscyplinowany, by chociaż miną pokazać, że coś mu się nie podoba. Byk gapił się na Porté i musiałby go uderzyć, żeby jeszcze bardziej podkreślić swoje niezadowolenie.

Wrócili we czwórkę na trakt. Położyli się w zaroślach i czekali na konnych. Las szumiał, muchy bzyczały, ale odgłosu końskich kopyt nie było słychać. Poleżeli jeszcze parę minut i udało im się usłyszeć tupot mrówek zmierzających swoją ścieżką do mrowiska. Porté zrezygnował z wypatrywania koni i obserwował owady. Najpierw położył dłoń obok dróżki. Żadna mrówka się nie zainteresowała. Potem postawił na ich trasie kamyk. Nie omijały go, tylko starały się wdrapać na przeszkodę.

Byk pierwszy otrząsnął się z zamyślenia.

— Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale na razie przyglądamy się pieprzonym mrówkom! Skąd wiadomo, że w ogóle ktoś nadjedzie?

— Porté tak powiedział.

Byk spojrzał na mężczyznę bawiącego się z owadami.

— I pan mu wierzy? Przecież on jest szalony.

— Mam na to postawić nasze życie?

Porté przestał się zajmować mrówkami i uciszył żołnierzy. Rzeczywiście, usłyszeli tętent koni. Jeźdźcy zbliżali się szybko. Nie prowadzili pieszych. Nawet, gdyby oddział pułkownika wysyłał zwiad przed sobą, nie zdążyliby się ukryć z tym taborem, który ciągnęli.

Trzydziestu konnych przemknęło przed nimi. Dowódca nie liczył, ale mógłby przysiąc, że jest ich właśnie tylu. Niebieskie mundury armii Eldoru migały jeden za drugim. Musieli mieć gdzieś niedaleko obóz, inaczej konie już by się zmęczyły. Wiadomość, że prowadzi bandę chłopów prosto na teren wroga, wcale go nie cieszyła.

Teraz nie mieli szans dotrzeć do Walsit. Nie odważył się wstać nawet wówczas, gdy jeźdźcy ich minęli.

— Już — oświadczył Porté. Jeszcze przez chwilę przyglądał się mrówkom. Potem przesunął kamienną zaporę, którą im ustawił. Kilka przeniesionych owadów biegało w kółko.

Wtedy najbardziej absurdalna myśl przyszła pułkownikowi do głowy: „A jeśli Porté był ich jedyną nadzieją? Nieważne, kim był. Mógł być szaleńcem, czarnoksiężnikiem, diabłem nawet, ale jeśli miał szanse ich stąd wyprowadzić?”

Kurz opadł na drogę, ale nie przykrył śladów końskich kopyt.

— Idziemy dalej — zarządził dowódca.

— Ścieżką? — spytał Porté. — Jak mrówki?

— Masz lepszy pomysł? — Pułkownik wolałby nie widzieć min, które pojawiły się na twarzy sierżanta i Byka.

— Ominąć przeszkodę. Iść przez las.

To nie było dobre rozwiązanie. Żołnierze będą musieli prowadzić konie, a chłopci będą się ciągle potykać. W dodatku nie znają terenu.

— W lesie możemy się zgubić — powiedział dowódca.

— Ja nie zgubię się — odparł młodzieniec.

— W takim razie nie wracamy na trakt — zdecydował pułkownik.

Ruszył w kierunku doliny, w której zostali ludzie. Sierżant i Porté szli tuż za nim, ale Byk jeszcze przez jakiś czas stał oniemiały. To był dobry żołnierz. Służył w tym oddziale od lat i nigdy nie widział, by jego dowódca upadł równie nisko. Żeby człowiek tak szlachetnie urodzony słuchał rozkazów chłopca!

Pułkownik zdał sobie sprawę, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie mieli szans dojść do Walsit, ale jeśli dzięki Porté dotrą na miejsce, on sam okryje się hańbą. Pozwalał prowadzić oddział idiocie, który słyszy konie z kilkuset metrów, a nie umie poprawnie sklecić zdania.

Nie było tak źle, jak się spodziewał. Porté nagle odkrył, że jest potrzebny tym ludziom i to do tego stopnia, że zaczynają go traktować jak dowódcę. Może faktycznie powinien spędzić z nimi trochę czasu? Tylko że będąc ze śmiertelnikami, nie mógł równocześnie przebywać z cieniami. Seli towarzyszyła mu wprawdzie od rana, ale była niematerialna. Mógł tylko rozkoszować się jej zapachem, zapachem nocy.

Teraz wszyscy szli pieszo. Wcześniej poruszali się tak samo wolno, więc nie wiedział jaki sens miało dosiadanie koni. Dla jeźdźców widocznie jakiś miało, bo patrzyli na niego z wrogością. W ogóle dziwni byli ci żołnierze. Wystraszyli się trzydziestu przeciwników. Porté musiał udawać, że też się boi, chociaż wystarczyło jedno słowo, żeby Seli rozszarpała ich na strzępy. Pewnie dlatego powiedziała mu, że się zbliżają. Miała nadzieję na małą zabawę.

Gdy jeden z chłopów osunął się na ziemię zmożony gorączką, pułkownik zarządził postój. Młodzieniec wykorzystał zamieszanie i odłączył się od oddziału. Wchodząc głębiej w las, mógł utonąć w zapachu nocy. Jej zmaterializowana postać pochwyciła go w ramiona. Seli miała wampirze zęby, co było rzadką przypadłością wśród cieni. Musiał nauczyć się całować ją tak, by nie ranić języka. Zsunęła z niego koszulę i przesunęła dłońmi po zabliźnionych plecach.

— Te ślady zwracają uwagę — stwierdził.

— Szkoda, lubiłam je — odparła smutno i mógł być pewien, że już ich nie ma.

To nie były pierwsze blizny, z którymi musiał się rozstać. Soriel bardzo się upierał, aby Porté nie wyróżniał się wśród ludzi.

— Mam iść z nimi do Walsit, a co potem?

Wtuliła się w jego szyję. Lubiła słuchać szumu krwi pulsującej w tętnicy.

— Walsit nie istnieje — powiedziała.

— Jak to nie istnieje?

— Kilka oddziałów wciąż walczy z siłami Eldoru, ale ziemia już czeka na ich krew.

Chciał zadać jeszcze wiele pytań, ale zniknęła. Nadal czuł chłód jej ciała na skórze. Jakiś człowiek musiał ją spłoszyć, pewnie ktoś z oddziału powłókł się za nim.

Rzeczywiście, drągał, którego dowódca nazywał Bykiem, wyłonił się zza drzew.

— Jesteś szpiegiem — warknął wielkolud.

— Nie rozumiem.

Byk dobył miecza. Ruszył w kierunku Porté i wyglądało na to, że już się nie cofnie.

— Jesteś psem Eldoru. Słyszałem, jak rozmawiałeś z kimś w obcym języku. Dlatego tak dziwnie mówisz, nie umiesz po naszymu!

Młodzieniec był pod wrażeniem. Drągał na przesadnie mądrego nie wyglądał, a tu takie odkrycie. Nikt jeszcze nie pomyślał, że Porté nie zna po prostu tutejszego języka. Oczywiście prawda była połowiczna, bo eldoriańskiego nie znał w ogóle.

— Nie jestem szpiegiem — powiedział.

– Milcz, psie. Zabiję cię, a potem urznę łeb temu starcowi, który udawał twojego ojca.

Porté był zaskoczony. Czy w innych warunkach taki głupek zabiłby dwóch ludzi, bo coś mu się ubzdurało? W odpowiedzi na to niezadane pytanie, Byk rzucił się na niego. Młodzieniec cofnął się szybko. Niewidzialna siła rzuciła wielkoluda na najbliższe drzewo.

– Stój! – krzyknął Porté. – Opętaj go, niech się sam zabije na oczach wszystkich. Nie będą mnie podejrzewali.

Seli zmaterializowała się jeszcze, by go pocałować. Nie zważała już na obecność człowieka, który i tak nikomu nie zdąży o tym powiedzieć. Byk jęknął na jej widok. W jednej chwili jego twarz stała się kredowo biała. Porté nie sądził, że ciało ludzkie jest zdolne do tak nagłej przemiany.

– Prowadź ich na zachód – szepnęła.

Podeszła do wielkoluda. Byk, a właściwie jego ciało, uśmiechnął się, wstał i podniósł swój miecz. Odchodząc, pomachał ręką na pożegnanie. Seli miała charakterystyczne poczucie humoru.

Porté ruszył nieśpiesznie za nim. Drażal musiał teraz zweryfikować wnioski na temat tożsamości szpiega. Miał kilka minut tylko na myślenie. Młodzieniec poprosił kiedyś Liljan, by go opętała. Widział, słyszał i czuł, ale z własnej woli nie mógł nawet poruszyć palcem.

Z daleka usłyszał krzyk: „Za Eldor”. No proszę, i tak oto Byk sam stał się zdrajcą.

Pułkownik zamknął oczy zmarłemu przyjacielowi. To nic. Kilka sekund wcześniej musiał przebić go mieczem. Kiedy Byk rzucił się na chorego chłopca, mężczyzna nie miał czasu, żeby się zastanawiać. Był pewien, że jego żołnierz nie był zdrajcą. Może oszalał? Nie bronił się przed ciosem, zupełnie jakby chciał umrzeć.

Zdarzało się już wcześniej, że ludzie szemrali, ale teraz zaczęli gadać głośno. W zasadzie dowódca nie bał się buntu. Bał się, że mają rację. Nie był pewien, jakie są ich szanse na dotarcie do Walsit. Skoro nawet taki człowiek jak Byk popadł w szaleństwo, musiało być jeszcze gorzej, niż mu się wydawało.

– Panie pułkowniku, co mamy zrobić z ciałem? – spytał sierżant.

– Pochować – rozkazał.

Szmer niezadowolenia przebiegł przez oddział. Słyszał, jak mówili „zdrajca”. Mylili się, ale nie miał siły im tego tłumaczyć. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak Porté wyłania się zza drzew. Czemu oddalił się w takiej chwili i dlaczego wrócił bez koszuli?

Pułkownik podszedł do młodzieńca. Wioskowy głupek zachowywał się dziwnie, choć dla niego to akurat było normalne.

— Gdzie twoja koszula? — spytał dowódca.

Tamten otrząsnął się, jakby zbudzono go ze snu.

— Już idę, przyniosę.

Porté odwrócił się i ruszył na wschód w głąb lasu. Dziwne, właśnie stamtąd przybiegł Byk, zanim zmusił ich do odebrania mu życia. Pułkownik poszedł za młodzieńcem. Chociaż ręce trzęsły mu się jak nigdy, sięgnął po miecz.

— Dość tego! O co tu chodzi?! — krzyknął drżącym głosem.

— Nie wolno powiedzieć mi.

Porté nie zatrzymał się ani nie obrócił. Dowódca czuł, że oddalając się od oddziału, zmniejsza swoje szanse na powrót, ale choć raz chciał być odważnym człowiekiem. Jeszcze bardziej chciał być żywym i odważnym człowiekiem, więc opuścił miecz. Miał wrażenie, że Bykowi broń na niewiele się zdała.

— Jesteś wolny, Porté. Nie musisz iść z nami do Walsit. — Najprościej pozbyć się źródła problemu.

— Nie ma Walsit. Eldor wyrównał je z ziemią.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Musimy iść na zachód.

— A co jest na zachodzie?

— Nie wiem.

— Niech cię diabli, Porté! Jesteś szalony, a ja jeszcze bardziej, skoro cię słucham.

Oparł się o najbliższe drzewo. Powinien być co najmniej generałem. Został pułkownikiem wyszukującym chłopów po wsiach, bo bardziej żałosnej i mniej odpowiedzialnej funkcji na tej wojnie nie można było mu znaleźć. Nawet do tego się nie nadawał.

Dopiero teraz zauważył coś, co powinien był spostrzec już dawno temu.

— Twoje blizny — wyjąkał. Nie było sensu pytać.

Nagle Porté odwrócił się do niego. Wypowiedział kilka słów w obcym języku. „Bełkot” — mówił jego ojciec we wsi, ale pułkownik nie miał wątpliwości, że to jakaś

mowa. Tylko do języków miał talent. Gdyby młodzieniec mówił dłużej, może dowódca rozpoznałby ten dialekt.

Nagle poczuł się dziwnie. Obraz lasu i wpatzonego w niego chłopaka zafalował. Chciał przetrzeć ręką oczy, ale nie mógł nią poruszyć. Myślał, że zdoła chociaż zakląć, lecz i to mu się nie udało. Wszystko dookoła rozplynęło się. Jakimś cudem znalazł się pośrodku zrujnowanego Walsit. Armia Eldoru stacjonowała w zniszczonym obozie. Widział, jak ich generał przekazuje gońcowi rozkazy. Młody żołnierz w niebieskim płaszczu wskoczył na konia i ruszył prosto na pułkownika. Ten chciał uskoczyć, ale nie mógł się ruszyć. Jeździec chyba dotknął go nogą. Chyba, bo dowódca nic nie poczuł ani nikt go nie zauważył. Najgłupsza i najbardziej oczywista odpowiedź przyszła mu do głowy: po prostu go tam nie było.

Obraz zafalował, rozmazał się i pułkownik znów był w lesie. Siedział na ziemi. Miecz leżał gdzieś obok. Musiał go upuścić. Porté pochylił się nad mężczyzną i z uśmiechem podał mu rękę.

— Nie odpowiesz na żadne moje pytanie? — spytał żołnierz, wciąż zbyt oszołomiony, by wstać.

— Nie. Ty mnie zaufasz, ja ciebie obronię.

Skinął głową. W końcu czemu miał nie ufać? Sam widział Walsit zmienione w pole bitwy, a że widział je, siedząc w lesie o kilka dni drogi od obozu... Oczywiście to mogła być diabelska sztuczka. Wtedy zginie albo okryje się hańbą a ojciec go wydziedziczy. Śmierć i niesława groziły mu jednak od dłuższego czasu. Magicznych widzeń natomiast doświadczał po raz pierwszy. To musiało coś znaczyć. W legendach i baśniach niezwykle zdarzenia spotykają ludzi, którzy cholernie potrzebują cudu. On o ten cud modlił się już od dawna.

— Niech cię diabli, Porté — powtórzył ze śmiechem.

Wrócili do oddziału. Chłopi kopali płytki grób dla Byka. Sierżant udawał, że ich nadzoruje, ale gdy tylko dowódca wyłonił się zza drzew, podbiegł do niego.

— Wszystko w porządku, panie pułkowniku? — spytał.

— Walsit zostało podbite. Musimy iść na zachód.

Wypowiadając te słowa mężczyzna był pewien, że jest gotowy na minę sierżanta. Mylił się.

— Z całym szacunkiem, czy pan się dobrze czuje?

Dowódca mógłby przysiąc, że słyszy politowanie w głosie starszego żołnierza.

– Czy macie czelność kwestionować mój rozkaz?

– Nie, panie pułkowniku.

Sierżant opuścił głowę, wyraźnie spokorniał. Całe szczęście, bo żołnierz obawiał się, że inną odpowiedź też mógłby usłyszeć.

– Znakomicie, więc proszę poinformować ludzi, że idziemy na zachód.

– I nie bierzemy chłopów – dodał Porté. – Nie są potrzebni. Wracają do bliskiej wsi.

Pułkownik skinął głową. Wcale nie miał ochoty patrzeć, jak dobre i mocne chłopcy padają jeden za drugim. Zresztą teraz, gdy Walsit zostało zniszczone, nie miał ich dokąd prowadzić.

Sierżant wahał się. Dowódca miał pewność, że ten człowiek nie jest w stanie zbuntować się przeciw niemu. Absurd polegał na tym, że starszy mężczyzna mógł się zbuntować dla jego dobra.

– Chłopi mają wrócić do najbliższej wsi! Żołnierze, przygotować się do wymarszu, kierunek zachód! – zakomenderował sierżant.

„Tym razem się udało”, pomyślał pułkownik.

Oddział wyruszył na zachód: dwóch dowódców, Porté, dziesięciu żołnierzy i trzynaście koni. Bez chłopów szło się zdecydowanie szybciej, a jeśli wyjdą na otwarty teren, będą mogli pojechać konno. Mimo to jego ludzie nie wyglądali na zadowolonych.

W lesie zaczynało się już powoli ściemniać, choć nie było jeszcze późno. Mogła być gdzieś czwarta, a pułkownik przysiągłby, że czuje zapach nocy. Porté zwolnił, aż w końcu się zatrzymał.

– Postój! – zarządził dowódca.

Udał, że nie słyszy szemrania, kiedy podszedł do młodzieńca, by zapytać, co dalej.

– Kim ty jesteś? – spytał Porté przedrzeźniając jego pytania.

– Nie rozumiem – odparł pułkownik, niechcący podejmując grę w odwrócenie ról.

– Oddziały Eldoru cheszą las i podobno szukają to ciebie.

Dowódca wiedział, że powinien ciągnąć te grę. Konsekwentnie odmawiać odpowiedzi na pytanie, może nawet wstawić kilka kwestii typu „wiem”, „nie wiem”. Nie umiał bawić się w takiej chwili.

– Damy radę im uciec na zachód? – spytał.

– Nie, są odpoczęci, jest ich więcej. Nas dogonią, ale powiedz dlaczego nas ścigają.

— Bo jestem księciem. — Porté pierwszy raz wydał się czymś zaskoczony. — Najmłodszym synem króla i przysłowiową czarną owcą w rodzinie. Zbieram chłopów po wsiach, żeby nie zginąć i jednocześnie udaję, że walczę na tej cholernej wojnie.

Młodzieniec milczał przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno i szczerze, że pułkownik miał ochotę go udusić.

— Ciekawy zbieg okoliczności — powiedział chłopak ocierając łzy.

— Miło, że cię to bawi. Szkoda, że zaraz zginiemy, bo opowiedziałbym jeszcze coś śmiesznego — warknął dowódca.

Porté spojrział na żołnierzy.

— Kiedy przyjeżdża pościg, wy udajecie zaskoczonych, trzymacie się razem, cofacie, nie wchodźcie nam w drogę.

Ktoś zaśmiał się krótko, jak z nieudanego żartu. Sierżant dotychczas balansował na granicy buntu, ale wyraźnie miał zamiar ją przekroczyć.

— Jaki pościg?! Jakich nas?! Dość tego szaleństwa, wracamy na drogę do Walsit! — rozkazał.

Żołnierze go poparli, ale zanim pułkownik zdążył coś powiedzieć, usłyszeli tętent koni. Duża grupa jechała w ich kierunku. Oczywiście mogli to być pobratymcy, ale jakoś nikt się nie łudził.

— To zdrajca, wciągnął nas w pułapkę! — krzyknął sierżant i rzucił się z mieczem na Porté.

Niewidzialny podmuch porwał go i odrzucił od młodzieńca. Chłopak wyszedł przed żołnierzy, wyprostował się, zaczął mówić w tym niezrozumiałym języku. Głos miał silny i spokojny.

Pułkownik cofnął się do swoich ludzi. Wyciągnął miecz a inni poszli w jego ślady.

— Zginiemy w walce! — zawołał.

W duchu modlił się, aby Porté rzeczywiście był cudowną istotą z legend, bo nie mieli żadnych szans. Nawet jeśli spróbują uciekać, jeźdźcy dogonią ich w kilka minut.

Wsłuchał się w dziwne słowa, jakby zaklęcia. Przysięgłby, że gdzieś już słyszał ten język. Mag na królewskim dworze mówił podobnie, nazywał to mową starożytnych. Może więc młodzieniec był magiem?

Jeźdźcy w niebieskich mundurach wyłonili się spomiędzy drzew. W pierwszej chwili ich dowódca zatrzymał się, ale widząc chłopca i garstkę żołnierzy, ponaglił konia.



Dopiero kiedy cały oddział był już widoczny, pojawiły się te postacie. Stały przed Porté. Jedna była delikatną blondynką w tęczowej sukni, jej ramię oplatały kwiaty. Druga miała długi płaszcz i kruczoczarne włosy, a także nienaturalnie bladą cerę. Trzecia wyglądała jak zwykła szlachcianka. Istnienia czwartej postaci nie był pewien, chyba był tam jakiś obłok, lecz kształtem nie przypominał człowieka.

Książę przypomniał sobie legendy i zrozumiał. Porté nie rzucał zaklęcia. On przywoływał cienie.

„Będzie zabawa”, pomyślał Porté. Cieszył się, że zobaczy je przy pracy. Delikatna Liljan, mroczna jak noc Seli, piękna nieznajoma i Morder, który tak gardził ludźmi, że nawet nie chciał się materializować. Cztery cienie to aż nadto do tak prostego zadania.

Żołnierze w niebieskich mundurach byli zbyt zaskoczeni nową sytuacją, by zdążyć wyhamować konie. Liljan zniknęła nagle i pojawiła się tuż za dowódcą na jego wierzchowcu. Objęła go tak mocno, że wypuścił miecz z ręki. Próbował jeszcze chwilę się miotać, ale uścisk się zacieśnił. Porté nawet ze swojego miejsca słyszał odgłos łamanych żeber.

Seli uniosła się i rzuciła na pierwszego nieszczęśnika, jaki jej się nawinął. Mimo wampirzych zębów nie zniżała się do poziomu istot pijących krew. Zrzuciła go z konia i rozszarpała pazurami. Trzecia dama zniknęła nagle. Równocześnie jeden z żołnierzy zawrócił konia i ruszył na swoich. Morder uderzył w najbliższego napastnika z takim impetem, że nie tylko zrzucił go z konia, lecz również wbił w drzewo.

Jeden z żołnierzy krzyknął, gdy jakaś roślina opłótła jego nadgarstek. Koń zrzucił go i uciekł. Kiedy młodzieniec próbował wyswobodzić rękę, identyczny pęd złapał go za drugą dłoń. Osłupiały spojrzał na pnącza wyrastające w dwóch różnych punktach lasu. Zaczęły wracać z powrotem do ziemi. Rozerwały go na pół. Chwilę później spod powierzchni wyłoniła się Liljan, zbryzgana krwią. Dotknęła tęczowej tkaniny i sukienka znów stała się czysta. Zauważyła, że Porté ją obserwuje. Posłała mu całusa.

Seli nasunęła kaptur na głowę. Zaraz potem płaszcz opadł pusty, a spod niego wyfrunęło stado nietoperzy. Rzuciły się na uciekającego mężczyznę, niemal pozbawiając go twarzy. To i tak było nic w porównaniu z miazgą, jaką Morder zrobił z człowieka, przeprowadzając po nim stado dzikich koni. Porté czuł, że nie uzyska odpowiedzi na pytanie, skąd wziął dzikie konie w środku lasu.

Żołnierz kontrolowany przez nieznaną zdążył już zabić kilku swoich kolegów. Zwykła szermierka była efektywna, choć mało efektowna. Po pięciu ofiarach dama uznała, że może sobie pozwolić na chwilę przyjemności. Mężczyzna sięgnął po nieduży nóż, który miał przymocowany do kostki. Zaczął orać nim własne ciało. Porté, obeznany już trochę z techniką tortur, widział pewną ostrożność w jego ruchach. Opętany starał się sprawić sobie jak najwięcej bólu zanim umrze.

Ci żołnierze, którzy jeszcze żyli, rozpaczliwie starali się uciec. Oczywiście nie mieli szans ująć z życiem, ale las był gęsty i Porté coraz słabiej ich widział. Z daleka zobaczył jeszcze, jak Morder zabija jednego człowieka drugim. „Jak szmaciane lalki”, pomyślał z pogardą. Kiedyś powiedział Sorielowi, że ludzie nie powinni być świadomi istnienia cieni. Bez tego łatwiej im żyć.

Wyglądało na to, że to już koniec zabawy. Obrócił się do mężczyzn, których bronił. Opuścili miecze, zbledli, ktoś zwymiotował.

— Chyba na zachód jednak, panie sierzancie — powiedział Porté.

Tym razem nikt nie zaprotestował. Chyba nikt nie odważyłby się głośniej odetchnąć w tej chwili. Mogli zatem ruszyć spokojnie na zachód.

Przed zmrokiem wyszli z lasu na wprost szlacheckiego pałacyku. Piękna posiadłość z daleka wydawała się opuszczona.

— Co to za miejsce? — spytał Porté.

— To przeklęty dwór — odparł jeden z żołnierzy drżącym głosem. — Gospodarz wymordował wszystkich domowników. Na koniec sam się zabił.

— Więc to tutaj na pewno — powiedział Porté z uśmiechem.

Widział po ich minach, że już nie traktują go jak wioskowego głupka, ale najchętniej by uciekli. Może nawet byliby skłonni prosić żołnierzy Eldoru o wzięcie w niewolę.

Ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonali konno. Drzwi pałacu były otwarte, więc Porté wszedł śmiało do środka. Otoczył go zapach wanilii.

Dama, którą spotkał w lesie, pojawiła się nagle przed nim.

— Jestem Asila. Przekaż tym swoim śmiertelnikom, że w piwnicy jest jedzenie i alkohol, bo tylko to ich interesuje — mówiła z pogardą, jak do zwykłego człowieka. — Soriel czeka na ciebie na górze.

Nie zrażał się. Nowo poznane cienie zawsze były uprzedzone. Na szczęście zyskiwał przy bliższym poznaniu, a tę pannę miał nadzieję poznać bliżej. Najpierw jednak poszedł spotkać się z mistrzem.

– Gratulacje – powiedział Soriel, gdy tylko Porté wszedł po schodach. – Właśnie uratowałeś życie królowi.

– Zdaje się, że najmłodszemu synowi króla.

– Jego bracia byli sławnymi generałami i polegli w blasku chwały.

Porté uśmiechnął się pod nosem. Zapewne był to taki sam przypadek, jak przyjazd zagubionego księcia do wsi, w której się wychował.

– On chyba nie potrafi rządzić ludźmi – powiedział młodzieniec.

– Tym łatwiej będzie ci go kontrolować.

– Ja tym bardziej nie potrafię...

– Nikt nie powiedział, że dobrze życzymy ludziom – odparł mistrz. – A przy okazji.

Nie próbuj uwodzić Asili, ona jest wrogo nastawiona do mężczyzn.

– Do mężczyzn czy do cieni? Brak wam delikatności, którą mają ludzie.

Soriel zaśmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Jesteś wyjątkową bramą.

Porté również się zaśmiał. Bramy pojawiały się na ziemi raz na kilkaset lat. Zawsze były wyjątkowe.